

ALFRED E. HOUSMAN:  
*UŻYCIE MYŚLENIA W KRYTYCE TEKSTU\**



Alfred E. Housman

Na początku wywodu o użyciu myślenia w krytyce tekstu nie definiuję terminu „myślenie”, gdyż mam nadzieję, że znaczenie, jakie mu przypisuję, wyniknie z tego, co mam do powiedzenia. Niemniej zachodzi konieczność zdefiniowania na wstępie samej „krytyki tekstu” – a to mianowicie dlatego, że wiele osób najwyraźniej nie wie, co to jest, a w tej liczbie są i ci, którzy wedle własnego mniemania jej nauczają. Po księgarniach widzi się różne „wstępy do krytyki tekstu”, w których o krytyce tekstu nie ma ani słowa. Są poświęcone wyłącznie paleografii, rękopisom i kolacjonowaniu, z krytyką tekstu nie mają zatem więcej wspólnego, niż gdyby były w całości poświęcone fleksji i składni: paleografia jest wprawdzie jedną z dziedzin wiedzy, z jakimi człowiek zajmujący się krytyką tekstu winien

się zapoznać, ale gramatyka jest tu przecież równie istotna. Ale żadna, nieważne, jak wielka, dawka czy paleografii, czy gramatyki nie nauczy nikogo ani krztyny krytyki tekstu.

Krytyka tekstu jest nauką oraz, jako że obejmuje ocenę dostępnych rękopisów i wprowadzanie poprawek, także sztuką. Nauką o wykrywaniu w tekstach błędów i sztuką ich usuwania. Taka jest definicja, to właśnie ta zbitka słów oznacza. Ale muszę też pokrótce powiedzieć, jakie miewa ona słuszne i niesłuszne konotacje, oraz co implikuje, a czego nie, gdyż można się od czasu do czasu spotkać z błędnym poglądem na ten temat.

Po pierwsze więc, krytyka tekstu nie jest świętym misterium, dostępnym jedynie kręgowi wtajemniczonych. Jest to wyłącznie sprawa rozumu i zdrowego rozsądku. Krytykę tekstu uprawiamy za każdym razem, gdy przyjdzie nam skorygować błąd drukarski. Człowiek obdarzony zdrowym rozsądkiem i zdolnością rozumowania nie powinien oczekiwać, że z ćwiczeń i wykładów dotyczących tej dziedziny nauczy się czegoś, czego nie mógłby, znalazłszy dość wolnego czasu i przyłożywszy się odpowiednio do pracy, odkryć samodzielnie. Słuchając wykładów i czytając rozprawy zaoszczędzi jedynie czasu i mozołu, gdyż zapozna się od razu z wnioskami, jakie prędzej czy później musiałyby mu się nasunąć. Ale cokolwiek czyta o krytyce tekstu w książkach lub słyszy na wykładach, powinien zawsze poddawać osądowi rozumu

---

\* Tekst oryginalny został pierwotnie opublikowany w: *Proceedings of the Classical Association* 18, 1921, s. 67–84, i jest dostępny w internecie pod adresem <http://cnx.org/content/m11803/latest/>. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

i zdrowego rozsądku i odrzucać wszystko, co się kłóci z jednym lub drugim, jako zwykłą szarlatanerię.

Po drugie, krytyka tekstu nie jest gałęzią matematyki ani w ogóle nauką ścisłą. Przedmiot jej zainteresowania nie jest ostro i raz na zawsze zdefiniowany – jak linie proste czy liczby – lecz płynny i niedookreślony; są to mianowicie słabości i wybryki ludzkiego umysłu oraz jego podwładnych – ludzkich dłoni. Z tego względu ściśle i jasne reguły postępowania nie istnieją i istnieć nie mogą. Byłoby oczywiście o wiele łatwiej, gdyby istniały, i to jest powód, dla którego niektórzy próbują udawać, że tak jest, albo przynajmniej zachowują się, jakby tak sądzili. Oczywiście, jeśli ktoś chce, może sobie ustalić ścisły zestaw prostych prawideł, lecz w efekcie nie będzie miał nic ponad garść reguł fałszywych, które sprowadzą go na manowce. Powód? Ich prostota sprawi, że nie będą miały zastosowania do problemów, które nie są proste, lecz zagnatwane przez wpływ czyjejś osobowości. Naukowiec zajmujący się krytyką tekstu przypomina nie tyle Newtona badającego ruchy planet, ile raczej psa łapiącego pchły. Gdyby pies łapał pchły według zasad matematyki, prowadząc poszukiwania na podstawie obliczeń statystycznych co do biotopu i populacji, nigdy nie złapałby niczego, no, chyba że szczęśliwym trafem. Pchły trzeba traktować indywidualnie – i tak samo jest w krytyce tekstu: do każdego problemu, z jakim się tu stykamy, trzeba podchodzić tak, jakby miał się okazać jedyny i niepowtarzalny.

Tak więc krytyka tekstu nie jest ani tajemnym misterium ani działem matematyki, a z tego wynika, że nie można się jej nauczyć tak, jak się człowiek uczy katechizmu czy tabliczki mnożenia. Jako nauka i jako sztuka wymaga od studenta czegoś więcej niż tylko chłonnego umysłu – i w rzeczy samej prawda jest taka, że dobrych krytyków się nie da wykształcić: *criticus nascitur, non fit*. Jeśli pies ma skutecznie łapać pchły, musi mieć wrażliwe zmysły i być szybki. Nie jest to zajęcie dla nosorożca – ten pcheł nie czuje, a nawet gdyby czuł, żadnej złapać nie jest w stanie. Mówi się czasami, że krytyka tekstu jest koroną filologii. To oczywiście nie musi być prawda, ale jest prawdą, że zespół cech charakteryzujących dobrego krytyka, czy górują one nad wszelkimi innymi zaletami, czy nie, występuje rzadko i że dobry krytyk jest zjawiskiem o wiele mniej pospolitym niż, na przykład, dobry gramatyk. Przychodzi mi tu na myśl publikacja znanego uczonego na temat pewnego łacińskiego pisarza; połowa pracy była poświęcona gramatyce, a połowa krytyce tekstu. Część gramatyczna była znakomita, ujawniała szerokie czytanie autora oraz precyzję obserwacji i zawierała wiele twierdzeń tak nowatorskich, jak wartościowych. W części krytycznej natomiast ten sam autor był niczym rozpuszczony bachor wtrącający się do rozmowy dorosłych. Jeśli było możliwe nie pojąć, na czym polega kwestia sporna, on nie pojmował. Gdy argumentacja oponenta była przedstawiona w książce, której akurat nie było pod ręką, wtedy on zamiast znaleźć tę publikację, próbował odgadnąć jej treść – i nigdy mu się to nie udawało. Gdy książka była dostępna i ją przeczytał, nie rozumiał argumentacji i w konsekwencji twierdził, że oponenti mają dokładnie przeciwne poglądy, niż mieli w rzeczywistości. Gdy inny uczoney usunął już wcześniej ze spornego miejsca trudność przez wprowadzenie drobnej poprawki do tekstu, on proponował usunąć tę samą trud-

ność przez dokonanie tam głębokich zmian. Można zatem dysponować podziwu godną erudycją w innych dziedzinach nauki, a jednocześnie nie mieć w sobie nawet zadatków na krytyka tekstu.

Ale stosowanie myślenia w krytyce tekstu powinno się mieścić w zakresie możliwości każdego, kto jest w stanie w ogóle stosować myślenie w jakiegokolwiek dziedzinie. Przeciwnie niż wrodzony talent do krytyki tekstu, stosowanie myślenia nie jest darem natury, lecz nawykiem; i, jak to z nawykami bywa, może być ukształtowane. A gdy zostanie ukształtowane, nie jest co prawda w stanie zupełnie zastąpić talentu, ale może w dużym stopniu zniwelować opłakane skutki jego braku. Skoro już człowiek nie jest urodzonym krytykiem, niekoniecznie od razu musi postępować jak urodzony idiota, aczkolwiek kiedy zaczyna uprawiać krytykę tekstu, często właśnie tak się dzieje. Wszystko ma swoje przyczyny, więc ma je i to zjawisko, a ja przytoczę teraz główne z nich. To, że w krytyce tekstu zbyt mały użytek czyni się z myślenia, zademonstruję dalej na przykładach, ale na razie chciałbym się zająć przyczynami, które do tego prowadzą.

Po pierwsze, rzadka jest nie tylko wrodzona zdolność do uprawiania tej dziedziny nauki, ale też autentyczne nią zainteresowanie. Większość ludzi, w tym wielu uczonych, uważa, że krytyka tekstu jest zajęciem raczej jałowym i raczej nudnym. A kiedy nas coś nudzi, wtedy skłonni jesteśmy unikać myślenia na ten temat; ale skoro już tak jest, wypadaloby pójść jeszcze krok dalej i na ten temat też nie pisać. Tak właśnie postępowali angielscy filologowie w połowie dziewiętnastego wieku – nikt w Anglii nie chciał wtedy nawet słyszeć o krytyce tekstu. To nie był idealny stan rzeczy, ale miał dobrą stronę; tę mianowicie, że im mniej ktoś mówi o czymś, na czym się nie zna, tym mniej ma okazji palnięcia jakiegoś głupstwa. I opinia publiczna pozwalała wydawcom, jeśli mieli ochotę, pomijać kwestie krytyczne milczeniem. Ale opinia publiczna uważa obecnie, że krytyka tekstu, jakkolwiek nieatrakcyjna, jest jednak niezbędna, a wydawcy czują przymus pokazania, że kwestie krytyczne wzięły pod uwagę. W tej sytuacji zamiast myśleć o krytyce tekstu, jedynie o niej mówią: przywołują wykute na pamięć formułki bez zrozumienia faktów, których te formułki są tylko odbiciem, i recytują je w niewłaściwych momentach, zamiast poważnie przemyśleć każdy problem, gdy ten wystąpi.

Po drugie, z tych, którzy się zajmują tą dziedziną wiedzy, jedynie mniejszość szczerze dąży do odkrycia prawdy. Wszyscy wiemy, że dążenie do prawdy rzadko jest jedynym celem publicystów politycznych, a świat jest przekonany – i jest to przekonanie krzywdzące lub nie – że nie zawsze jest to też jedyny cel teologów; ale mało kto podejrzewa, na jaką skalę podświadoma nierzetelność szerzy się w krytyce tekstu greckich i łacińskich klasyków – mało kto, powiadam, oprócz tych, którzy mieli sposobność przeanalizować zjawisko. Ludzie wkraczają na to pole z bagażem uprzedzeń i osobistych upodobań; nie mają ochoty uwzględniać wszystkich faktów ani wyciągać najbardziej prawdopodobnych wniosków, o ile nie są to wnioski, jakich oczekują. Większość ludzi jest w ogóle raczej głupia, a większość tych, którzy głupi nie są, grzeszy zważywszy własną wyjątkowość pewną próżnością. Kto zbacza z drogi prowadzącej do prawdy, czyni to prawie wyłącznie dlatego, że padł ofiarą albo własnej głupoty, albo własnej próżności. Głupota sprawia, że człowiek nie jest w stanie wyrwać się z kręgu powszechnie akceptowanych opinii i grzęźnie

w nich jak w bagnie; próżność z kolei skłania do ustawicznej pogoni za nowinkami i dokonywania iluzorycznych odkryć. Na dodatek, oprócz takich pułapek i przeszkód, istnieją różne formy stroniczości: sekciarstwo, przykuwające uczonego do jego szkoły, mistrzów i współpracowników; oraz patriotyzm, przykuwający go do własnego kraju. Patriotyzm uchodzi za wielką cnotę i w dziedzinie zachowań społecznych w obecnym stadium historii powszechnej wciąż przynosi przypuszczalnie więcej dobra niż zła, ale w sferze naukowej to prawdziwa plaga. Nie wiem, co jest gorsze – niemiecki naukowiec wzmacniający u swoich rodaków wiarę, że nie ma nic, czego *wir Deutsche* mogliśmy się nauczyć od obcokrajowców, czy Anglik udowadniający jedność poematów Homera metodą drwin z „teutońskich belfrów”, którzy mają ponoć wielkie okulary, wylupiaste oczy oraz wymoczone w jasnym piwie wąsiska, w wyniku czego nie są w stanie wydawać sądów w kwestiach literackich.

Po trzecie, te wewnętrzne przyczyny błędów i głupich posunięć bardzo rzadko powodują sprzeciw lub próbę naprawy ze strony kogoś z zewnątrz. Przeciętny czytelnik nie wie prawie nic o krytyce tekstu, przeto nie jest w stanie śledzić wywodów autora publikacji wystarczająco czujnie – nie ma więc większych przeszkód, by dureń bredził, a oszust kłamał. Co gorsza, czytelnik często podziela przesady autora i jest zbyt usatysfakcjonowany prezentowanymi w publikacji wnioskami, żeby poddać drobiazgowej analizie przebieg rozumowania i przesłanki, na jakich się ono opiera. Gdy człowiek stanie na beczce w centrum Bagdadu i ogłosi: „Dwa i dwa jest cztery, a imbir jest ostry w smaku, wobec tego Mahomet jest prorokiem Allacha”, jego logika prawdopodobnie ujdzie każdej krytyce; a gdyby nawet ktoś z takową wystąpił, można ją łatwo odeprzeć wyzywając go od chrześcijańskich psów.

Po czwarte, sprawy, o jakich się mówi w krytyce tekstu, nie należą do grupy tych, które ludzki umysł widzi jasno i wyraźnie. W tej dziedzinie łatwo powiedzieć i wyobrazić sobie, że się myśli coś, czego się w rzeczywistości nie myśli, a nawet, że się myśli coś, co, jeśli się to spróbuje rzeczywiście przemyśleć, okazuje się nie do pomyślenia. Tak więc zdarzają się pomyłki, które nie zdarzyłyby się, gdyby przedmiotem rozważań był jakikolwiek obiekt materialny, uchwytny dla zmysłów. Ludzkie zmysły mają za sobą o wiele dłuższy okres rozwoju niż intelekt, a co za tym idzie, są o wiele bliższe doskonałości, bardziej wyczułone i o wiele mniej podatne na ułudę. Różnica między soplem lodu a rozżarzonym pogrzebaczem jest naprawdą o wiele mniejsza niż różnica między prawdą a fałszem, albo sensem i bezsensem; ale to ta pierwsza różnica jest o wiele lepiej dostrzegalna i o wiele powszechniej uznawana, gdyż zmysły są wrażliwsze od intelektu. Wydaje mi się wobec tego, że dobrą metodą wykazania fałszywości twierdzenia lub absurdalności argumentacji w krytyce tekstu jest odwzorowanie ich przy użyciu terminów nawiązujących do wrażeń zmysłowych, aby zobaczyć, co się wtedy stanie. Gdy rzeczowniki, których używamy, oznaczają rzeczy możliwe do dotknięcia lub spróbowania, różniące się między sobą temperaturą lub smakiem, wtedy zdajemy sobie sprawę, co mówimy, i troszczymy się o sens wypowiedzi. Lecz pojęcia krytyki tekstu są tak beznadziejnie abstrakcyjne, że w rezultacie prawdopodobnie na żadnym innym polu nauki człowiek nie wygłasza tylu fałszywych zdań z nadzieją, że głosi prawdę, ani tak często nie plecie od rzeczy w nieuzasadnionym przekonaniu, że mówi z sensem.

Jest to szczególnie niefortunne i szczególnie karygodne, bo nie ma nauki, w której trzeba byłoby bardziej uważać na możliwe błędy rozumowania. Przedstawiciele nauk przyrodniczych są w o tyle lepszej sytuacji, że mogą ciągle konfrontować swoje teorie z rzeczywistością weryfikując lub falsyfikując je doświadczalnie. Gdy chemik zmiesza siarkę, saletrę potasową i węgiel drzewny w określonych proporcjach i chce się przekonać, czy powstała mikstura jest wybuchowa, musi tylko przyłożyć zapaloną zapałkę. Gdy lekarz opracuje nowy medykament i chce wiedzieć, czy pomaga on na jakieś choroby, a jeśli tak, to na jakie, wystarczy, że zaaplikuje nowy środek większej liczbie pacjentów i odnotuje, którzy umrą, a którzy wyzdrowieją. Naszych sądów na temat prawdziwości lub fałszywości lekcji rękopisu nie da się potwierdzić albo skorygować za pomocą podobnie rozstrzygającego eksperymentu, gdyż jedynym tego typu testem mogłoby być porównanie manuskryptu z autografem. Odkrycie rękopisu lepszego i starszego od znanych do tej pory rozstrzygające nie jest, a i nie ma co oczekiwać, że nawet tak niedoskonała metoda weryfikacji będzie dostępna na szeroką skalę czy choćby często. Także zwykła rozważa i zwykła przyzwoitość nie pozwalają nam zaniedbywać żadnych środków ostrożności, jakie mamy do dyspozycji, i każą nam kontrolować samych siebie, skrupulatnie nadzorować postępy naszej pracy i drobiazgowo analizować własne motywy działania. A teraz zobaczmy, na ile się tych podstawowych reguł przestrzega.

Na początek, żeby się przekonać, jak nedorzecznie argumenty i jak niewiarygodne głupstwa oddaje się do druku, weźmy taki przykład. Przez kilka stuleci panowało przekonanie, że pełne imię Plauta brzmiało *M. Accius Plautus*. Lecz w 1845 roku Ritschl zwrócił uwagę na to, że w palimpseście ambrożyjskim<sup>1</sup>, który 30 lat wcześniej odkrył Mai<sup>2</sup>, zapisanym w IV lub V wieku i będącym zdecydowanie najstarszym znanym rękopisem Plauta, to nazwisko pojawia się w dopełniaczu jako *T. Macci Plauti* – a zatem Plaut nazywał się w istocie *Titus Maccius* (lub *Maccus*) *Plautus*<sup>3</sup>. Pewien włoski uczonec, niejaki Vallauri, odrzuca jednak ten wniosek wytoczywszy kontrargument, że we wszystkich wydaniach komedii Plauta od wieku XVI do XIX to nazwisko było drukowane jako *M. Accius*. Zjawia się też osobiście w Mediolanie, żeby obejrzeć palimpsest, i co prawda stwierdza, że owo *T. Macci* jest napisane całkiem wyraźnie, ale odnotowuje też poza tym, że inne strony manuskryptu są w bardzo wielu przypadkach niezbyt czytelne i że w ogóle cała księga jest dość zwałtretowana – nie może zatem wyjść z podziwu, że ktoś mógłby przywiązywać wagę do świadectwa rękopisu, który jest w takim stanie<sup>4</sup>.

Czy jest jakaś inna nauka albo jakakolwiek dziedzina ludzkiej działalności aspirująca do miana nauki, gdzie całkiem jawnie mogą działać ludzie o takiej umysłowości? A może ktoś sądzi, że pan Vallauri to odosobniony wybryk natury? Niestety

<sup>1</sup> Rękopis G 82 sup. z mediolańskiej Biblioteca Ambrosiana.

<sup>2</sup> Angelo Mai (1782–1854) – w latach 1813–1819 prefekt Biblioteki Ambrożyjskiej, a w latach 1819–1833 Biblioteki Watykańskiej. W obu bibliotekach dokonał ważnych odkryć.

<sup>3</sup> Friedrich Wilhelm Ritschl (1806–1876), *Parerga zu Plautus und Terenz*, Berlin 1845 (reprint: Hakkert, Amsterdam 1965), też w: id., *Opuscula philologica*, t. I, Lipsiae 1867, s. 3–43.

<sup>4</sup> Tommaso Vallauri (1805–1897), *Animadversiones in dissertationem F. Ritschelii de Plauti nominibus*, Augustae Taurinorum 1867.

– gdy zajmiemy się krytyką tekstu, jakiegoś pana Vallauriego napotyamy niemal na każdym kroku.

Rękopisy Katullusa, z których żaden nie powstał przed wiekiem XIV, przekazują taki wers (64, 23): *heroes, salвете, deum genus! o bona mater!* Tymczasem tak zwane *Scholia Veronensia* do Wergiliusza, palimpsest zapisany w V lub VI wieku, zawierają następujący komentarz do *salve, sancte parens* (Verg. *Aen.* V 80): *Catullus: salвете, deum gens, o bona matrum / progenies, salвете iter[um]*, podając *gens* zamiast *genus*, *matrum* zamiast *mater* i poza tym cytując pół wersu, którego w ogóle nie ma w zachowanych rękopisach Katullusa. Większość uczonych naturalnie uznała przewagę świadectwa scholiów, starszego od innych manuskryptów o dobre osiemset lat. Ale znalazł się oponent: „*Scholia Veronensia* roją się od lakun i innych uszkodzeń, przeto nie mogą podważyć przekazu głównych manuskryptów”. To kolejny pan Vallauri: palimpsest ma gdzie indziej wielkie dziury, w ogóle spora jego część uległa zupełnemu zniszczeniu, a zatem to, co pozostało we w miarę niezłym stanie, mimo że napisane w VI wieku, ma mniejszą wartość niż rękopisy sporządzone w wieku XIV. Ale jeśli ktoś weźmie te czternastowieczne rękopisy, wydrze z nich niektóre strony, a w pozostałych porobi dziury, wartość przekazu tych części, które przy tej okazji nie ulegną destrukcji, przypuszczalnie zmaleje, może nawet do poziomu owego palimpsestu.

Inny przykład. Są dwa rękopisy pewnego autora, nazwijmy je A i B. Z tych dwóch A uznano za poprawniejszy, ale bardziej zafalszowany przez poprawki kopisty, a B za bardziej zepsuty, ale zawierający mniej interpolacji. Mamy stwierdzić, który z nich jest lepszy, albo czy może oba są równie dobre. Niejeden uczony spróbuje znaleźć odpowiedź na to pytanie drogą mozolnego porównywania lekcji; lecz inny pomyśli, że zna prostszy sposób, polegający na stwierdzeniu: „rękopis mniej zafalszowany przez kopistę jest i musi być lepszy w oczach każdego kompetentnego krytyka”.

Przytaczam to jako przykład czegoś, co człowiek może powiedzieć, jeśli nie myśli o sensie tego, co mówi, a przede wszystkim jako przykład niebezpieczeństwa, jakie czai się w uogólnieniach. Najlepsza rada na takie pretensjonalne nonsensy to przeniesić je ze sfery krytyki tekstu, gdzie niewielką się zwraca uwagę na różnicę między prawdą a fałszem, sensem a bezsensem, i rzadko się ją w ogóle dostrzega, do takiej sfery, gdzie człowiek będzie zmuszony użyć wyrazów oznaczających dostępne zmysłem konkrety, co w efekcie skłoni go do myślenia, choćby nie chciał.

Proszę więc tego pana, tego kompetentnego krytyka, który mówi, że rękopis zawierający mniej zafalszowań jest i musi być lepszy – proszę go, niech mi powie, kto waży więcej: mężczyzna wysoki czy mężczyzna gruby? Nie odpowie. Nikt na to nie odpowie, bo każdy momentalnie dostrzeże, że pytanie jest absurdalne. „Wysoki” i „gruby” to są przymiotniki, które nawet krytyka tekstu są w stanie ściągnąć z obłoków na ziemię, do świata zamieszkałego przez stosunkowo sprawnie myślących ludzi, takich jak rzeźnicy czy kupcy, którzy od myślenia uzależniają własne przetrwanie. Zaczyna on wtedy rozumieć, że na tak ogólne pytanie każda odpowiedź musi być zła i że osąd może być wydany tylko po rozważeniu każdego poszczególnego przypadku; że wszystko zależy od wielkości wzrostu i stopnia otyłości. Może się zdarzyć, że cał w obwodzie dodaje więcej wagi niż cał wzrostu albo odwrotnie. Ale



nikt nigdy nie utrzymywał, jakoby wzrost miał nieporównywalnie większy od otyłości wpływ na wagę (albo odwrotnie), albo cał jednego wychylał strzałkę wagi znacznie bardziej niż jard drugiego. Sposobem zbadania, czy ten wysoki gość waży więcej niż tamten gruby, jest zważenie obu. A sposobem zbadania, czy ten zepsuty rękopis jest lepszy niż tamten interpolowany, jest ich skolacjonowanie, a nie pójście na łatwiznę przez wygłoszenie fałszywego, śmiechu wartego uogólnienia, że manuskrypt mający mniej świadomych ingerencji kopisty jest i musi być lepszy.

Kiedy nazywamy rękopis „mniej zafalszowanym”, przypisujemy mu pewną cechę moralną, czym natychmiast pozyskujemy dlań sympatię bezmyślnej części ludzkości – kwestie emocjonalne i moralne są jej mocną stroną. Nie zamierzam wyłączać moralności z krytyki tekstu, przeciwnie, wolałbym, żeby pewne kwalifikacje moralne były w tej dziedzinie powszechniejsze, niż są. Lecz nie dajmy dojść emocjom do głosu tam, gdzie nie ich miejsce. Możliwe że kopista, który dokonuje interpolacji, który zmienia tekst świadomie, grzeszy niegodziwością, podczas gdy inny, który zmienia tekst przypadkiem – bo jest czy to zaspany, czy to niedokształcony, czy nietrzeźwy – być może nią nie grzeszy, ale ta sprawa będzie interesowała kompetentne instancje w Dzień Sądu, a nie nas tu i teraz. My nie zajmujemy się życiem wiecznym kopisty, lecz całkiem doczesnym zagadnieniem użyteczności rękopisu, rękopis zaś jest użyteczny albo nie, proporcjonalnie do tego, jak wiele prawdy ujawnia bądź ukrywa; przyczyny tego ujawniania i ukrywania są natomiast bez znaczenia. Błędem jest przypuszczenie, że świadoma zmiana tekstu jest zawsze bardziej zgubna dla prawdy niż nieumyślne zepsucie; a nawet gdyby tak było, to, jak już powiedziałem wyżej, i tak przede wszystkim należałoby spytać, do jakiego stopnia. Rękopis, w którym 1 procent tekstu zmieniono złośliwie i z premedytacją, a 99 procent pozostawiono w stanie nienaruszonym, nie jest tak zły, jak rękopis, w którym tylko 1 procent tekstu jest w porządku, a reszta została nieumyślnie popsuta przez najuczciwszego kopistę pod słońcem. Gdy zwrócimy się do specjalisty z podobnie mętym problemem, czy z dwóch rękopisów lepszy jest ten „bardziej poprawny”, czy ten „mniej zafalszowany przez poprawki kopisty”, odpowie tak:

– Jeśli mam wydać opinię, muszę przede wszystkim obejrzeć oba rękopisy; w chwili obecnej z tego pytania wiem tyle, że zarówno jeden, jak i drugi może być lepszy albo oba mogą mieć taką samą wartość.

Ale to jest coś, czego niekompetentny krytyk nigdy nie powie – on m u s i mieć lepszy rękopis, czy coś takiego istnieje czy nie, bo nie może się bez takowego obejść. Gdyby Opatrzność pozwoliła dwóm manuskryptom mieć jednakową wartość, taki wydawca byłby zmuszony wybierać pomiędzy prezentowanymi przez nie lekcjami na podstawie ich własnej wartości, a żeby to zrobić, musiałby się wykazać inteligencją i bezstronnością oraz chęcią podjęcia trudów i wyzwań, których podejmować nie chce i nie musi. Więc jest pewien, że Bóg, co łagodzi wiatr wiejący na ostrzyżone jagnię<sup>5</sup>, nie zamierzał nigdy złożyć mu na barki takiego ciężaru.

To były przykłady bezmyślności w zakresie *recensio*, oceny ważności rękopisów; przejdźmy teraz do *emendatio*, wprowadzania poprawek. Istnieje pewien niemądry

<sup>5</sup> Przysłowie francuskie, które przytacza Laurence Sterne, *Podróż sentymentalna*, rozdz. 64.

sposób wynajdywania koniektur, który, jak się wydaje, jest popularniejszy na Wyspach Brytyjskich niż gdziekolwiek indziej, acz jest też praktykowany za granicą, ostatnio zwłaszcza w Monachium. Polega na tym, żeby, gdy już sobie wmówimy, że w tekście jest zepsucie, zmienić literkę albo dwie i patrzeć, co się stanie. Jeśli w wyniku otrzymamy coś, co przy bardzo dużej dawce dobrych chęci można wziąć za rzecz spójną pod względem sensu i gramatyki, nazywamy to koniekturą. Ta głupawa zabawa nosi nazwę „metody paleograficznej”.

Metoda paleograficzna była zawsze ulubioną rozrywką początkujących i przedmiotem pogardy ze strony naukowców. Na przykład Haupt<sup>6</sup> miał zwyczaj przestrzegać studentów przed braniem tego za metodologię pracy krytyka tekstu. „Od dobrej emendacji należy przede wszystkim wymagać – mówi gdzieś – aby jej punktem wyjścia była myśl zawarta w tekście. Dopiero potem bierze się pod uwagę inne okoliczności, takie jak metrum, czy rozważa takie możliwości jak zamianę pewnych liter”. A w innym miejscu: „Jeśli wymaga tego sens, jestem gotów napisać *Constantinopolitanus* tam, gdzie rękopisy mają monosylabę *o*”. I dalej: „Z tego, że punktem wyjścia zawsze powinna być myśl, wynika samo przez się, iż nikt nie ma prawa na samym wstępie rozważać, jaka zamiana liter mogła spowodować zepsucie tekstu”. I dalej, w przemowie na temat Lachmanna jako krytyka: „Niektórzy, gdy widzą, że coś w starożytnym tekście wymaga naprawienia, od razu lecą studiować paleografię, badać kształty liter i postacie skrótów, a potem wypróbują jeden zawijas po drugim, niby w jakiejś grze, póki nie trafią na coś, co wedle ich mniemania można podstawić w miejsce zepsucia; zupełnie jakby taka loteria była generalnie sposobem na odkrywanie prawdy albo jakby poprawka do tekstu mogła powstać na podstawie czegokolwiek poza skrupulatnym prześledzeniem zawartej w tym tekście myśli”<sup>7</sup>.

Ale nawet wtedy, gdy trzyma się paleografię na należnym jej, służebnym miejscu, i nie pozwala stroić pańskich min, bywa obarczana zbyt wieloma obowiązkami. Istnieje upodobanie do koniektur opartych na paleografii i objaśniających przyczyny błędu przypadkową zamianą podobnych liter lub podobnych słów, mimo że, jak ogólnie wiadomo, inne przyczyny przekłamań również występują. Można się dla przykładu spotkać ze złotą myślą tego rodzaju: „Interpolacja, ogólnie rzecz biorąc, stosunkowo rzadko bywa przyczyną przekłamań, więc powinniśmy tylko w ostateczności zakładać, że była nią w jakimś konkretnym przypadku”.

Każdy przypadek jest „konkretny”, a zatem ta złota myśl w rzeczywistości znaczy, że zawsze powinniśmy tylko w ostateczności zakładać, że interpolacja była przyczyną przekłamania. Ale jest pewne, i nawet sam autor sentencji to potwierdza pisząc „stosunkowo rzadko”, że interpolacje występują – przeto nie mówi nam nic innego, jak tylko to, że powinniśmy tylko w ostateczności zakładać, że zaszła interpolacja, nawet tam, gdzie to założenie jest słuszne. A powodem, dla którego mamy tak śmiesznie postępować, jest to, że interpolacja, ogólnie rzecz biorąc, stosunkowo rzadko bywa przyczyną przekłamań.

<sup>6</sup> Moriz Haupt (1808–1874), filolog klasyczny i germanista.

<sup>7</sup> M. Haupt, *De Lachmanno critico*, Neue Jahrbücher für das klassische Alterthum, Geschichte und deutsche Literatur 14, 1911, s. 529–538.



Wykrycie niespójności logicznej jest poza zasięgiem możliwości przeciętnego czytelnika, no, chyba że wniosek jest nie po jego myśli. I tak samo poza zasięgiem możliwości autora przeciętnej publikacji jest powiązanie własnych słów z rzeczywistością, jeśli te słowa są terminami z zakresu krytyki tekstu. Zastąpię je więc innymi, takimi, które są jaskrawo powiązane z rzeczywistością, i zaproszę do zapoznania się z następującą złotą myślą i rozumowaniem, jakiego jest efektem:

„Rana postrzałowa, ogólnie rzecz biorąc, stosunkowo rzadko bywa przyczyną śmierci, więc powinniśmy tylko w ostateczności zakładać, że była nią w jakimś konkretnym przypadku”.

Czy aby na pewno? Czy aby na pewno mamy tylko w ostateczności uznawać ranę postrzałową za przyczynę zgonu, jeśli dany przypadek to śmierć na polu bitwy? I mamy się od tej diagnozy powstrzymać na takiej podstawie, że rana postrzałowa, ogólnie rzecz biorąc, stosunkowo rzadko bywa przyczyną śmierci? Mamy zamiast tego przyjąć najczęściej spotykaną przyczynę zgonów i uznać, że śmierć na polu bitwy była spowodowana gruźlicą? Co by pomyślano o kimś, kto by zalecał taką procedurę? Cóż, prawdopodobnie by pomyślano, że jest zabląkanym daleko od domu krytykiem tekstu.

Dlaczego z przypadkiem interpolacji spotykamy się stosunkowo rzadko? Z tego samego powodu, dla którego stosunkowo rzadko spotykamy się z przypadkiem rany postrzałowej: stosunkowo rzadko zdarza się sposobność jej zaistnienia. Interpolacja wyrasta na gruncie rzeczywistych lub urojonych trudności z tekstem i niezbyt często kopista się na nią waży, gdy wszystko idzie mu jak z płatką; natomiast przypadkowe przekłamanie może powstać wszędzie, tu nie jest bezpieczna żadna litera ani żadne słowo – i to jest jedyny powód, dla którego przypadkowe przekłamanie występuje częściej. W konkretnym przypadku, w którym jedno i drugie jest możliwe, interpolacja jest równie, ba, nawet bardziej prawdopodobna, gdyż działanie umotywowane jest bardziej prawdopodobne od działania pozbawionego motywów. A zatem prawda jest taka, że w takim przypadku powinniśmy tylko w ostateczności zakładać nieumyślne zepsucie i właśnie raczej podejrzewać interpolację. A okoliczność, że takie przypadki są stosunkowo rzadkie, to jeszcze nie powód, żeby się zachowywać irracjonalnie w ich obliczu.

Istnieje pewna specjalna dziedzina krytyki tekstu, szeroka i ważna, której głównym przedmiotem jest ustalanie reguł gramatyki i metryki. One są częściowo przekazane przez tradycję, to jest antycznych gramatyków, ale częściowo zostały sformułowane już w czasach nowożytnych przez indukcję, na podstawie zawartości rękopisów dzieł klasyków greckich i łacińskich. I nawet te reguły, które otrzymaliśmy w spadku po starożytności, muszą oczywiście zostać skonfrontowane z tekstami przekazanymi przez manuskrypty. A te każdą regułę, czy jest przekazana przez tradycję, czy sformułowana indukcyjnie, czasem łamią. Czasem jedną, czasem więcej. Czasem rzadko, czasem często. Krytyk może wtedy stwierdzić, że rękopisy są zepsute, i poprawić je zgodnie z regułą. Sytuacja jest pozornie, co ja mówię, ewidentnie, paradoksalna: rękopisy stanowią materiał wyjściowy do sformułowania reguły, a potem, kiedy już ją mamy, zwracamy się przeciw rękopisom i mówimy, że reguła, ustalona na podstawie ich zawartości, wykazuje ich błędność. Tak więc drepczemy w kółko, jest to fakt niezaprzeczalny, ale, jak mówi Lachmann, zadaniem krytyka tekstu jest właśnie to,

żeby chodzić w koło zręcznie i ostrożnie; i to właśnie wznosi pracę krytyka ponad zwykły, mechaniczny mozół. Jest to trudność nieunikniona, wynikająca z natury rzeczy w tym wypadku, a jedynym sposobem przewyciężenia jej – jest po prostu bycie porządnym uczonym.

Ten paradoks zresztą wygląda w teorii na bardziej zdumiewający niż w istocie jest, ma też analogie w życiu codziennym. Werdykt sądu opiera się głównie na zeznaniach świadków, ale to nie przeszkadza przysięgłym zadecydować na podstawie całego materiału dowodowego, że jeden lub paru świadków popełnia krzywoprzysięstwo i ich zeznania trzeba zignorować. Na podstawie ogólnego świadectwa rękopisów można całkiem skutecznie wypracować regułę wystarczająco solidną, by za jej pomocą wykazać fałsz tego, co te same rękopisy okazjonalnie zdają się zaświadczać, albo wystarczająco prawdopodobną, by podać niektóre świadectwa w wątpliwość. Ale takie wyjątkowe świadectwo musi być zawsze brane pod uwagę, bo też zawsze musimy w takim wypadku wybrać pomiędzy dwiema hipotezami – pytanie brzmi mianowicie, czy wyjątek pochodzi od autora i po prostu łamie znaną nam regułę, czy też pochodzi od kopisty i mamy dokonać poprawki na podstawie tejże reguły. Jeśli mamy podjąć taką decyzję, trzeba mieć oczy otwarte na każdą szczególną cechę, jaka może znamionować jedną i drugą możliwość.

Jedną z form, jaką brak myślenia przybiera w krytyce tekstu, jest tendencja obecnie dominująca, zwłaszcza wśród pewnych uczonych z kontynentu, do podważania przyjętych norm gramatyki lub metryki jedynie przez zbieranie i wyliczanie wyjątków, jakie mamy w rękopisach. Ale tak nie da się podważyć żadnej reguły, bo liczba wyjątków sama w sobie nic nie znaczy. Jedyne, co się liczy, to ich waga, a tę można właściwie ocenić tylko drogą klasyfikacji i dokładnego rozpatrzenia każdego przypadku z osobna. Gdybym wynotował sobie każdy napotkany przykład, miałbym teraz obfity zbiór miejsc w łacińskich manuskryptach, gdzie przy rzeczowniku *orbis*, który według gramatyk i słowników jest rodzaju męskiego, stoi przymiotnik w rodzaju żeńskim. Ale nie przyszło mi z tego powodu do głowy podawać tej reguły w wątpliwość, gdyż bliższe zbadanie ujawniłoby, że takie przykłady, chociaż liczne, nie mają żadnego znaczenia. Większość bowiem z nich to miejsca, w których z sensu i kontekstu widać, że *orbis*, w każdej z możliwych form, jest zwykłym zepsuciem odpowiedniej formy wyrazu *urbs*, a przy pozostałych nasuwa się naturalne przypuszczenie, że kopista pomylił rodzaje sugerując się znacznym podobieństwem tych obu wyrazów.

Albo znowu, poczytajmy Madviga *Adversaria critica*, część I, ks. I, rozdział IV, gdzie analizuje on dowody na to, że grecki *infinitivus aoristi* może być użyty po *verba dicendi* lub *cogitandi* w znaczeniu infinitiwu *futuri* albo infinitiwu *aoristi* z *ᾶν*<sup>8</sup>. W rzeczy samej, lista przykładów na to znajdujących w rękopisach jest długa. Ale gdy zaczniemy je klasyfikować, uderza nie liczba wyjątków, lecz ich ograniczony zasięg. Prawie wszystkie to *δέξασθα* zamiast *δέξεσθα* i temu podobne, gdzie oba wyrazy różnią się tylko jedną literą. Nieco mniej jest takich jak *ποιῆσαι* zamiast

<sup>8</sup> Johan Nicolai Madvig (1804–1886), *Adversaria critica ad scriptores Graecos et Latinos*, t. I, Hafniae 1871.

ποιήσειν, gdzie różnica, mimo że nieco większa, jest wciąż nieznaczna. Inne przykłady to lekcje w rodzaju ἤκιστα ἀναγκασθῆναι zamiast ἤκιστ' ἄν ἀναγκασθῆναι, gdzie znów różnica jest prawie żadna. Teraz, jeśli rękopisy mają co do tego rację i autorzy greccy rzeczywiście używali tej konstrukcji, jak objaśnimy tak niezwykle ograniczenie użycia? Nie ma różnicy składniowej między aorystem pierwszym a drugim – no to dlaczego pierwszy aoryst jest używany tak często zamiast futurum, a drugi tak rzadko? Dlaczego dziesiątki razy mamy δέξασθαι zamiast δέξεσθαι, a λαβεῖν zamiast λήψεσθαι ani razu? Wystarczy postawić to pytanie, żeby od razu zobaczyć sprawę we właściwym świetle. Prosta obserwacja, że aorysty użyte w ten sposób mają formy podobne do futurów, podczas gdy aorysty o formach odmienionych od futurów nie występują w tej roli, dowodzi, że źródłem zjawiska jest oko kopisty, a nie umysł autora, i że nie jest to odstępstwo od reguł gramatyki, lecz po prostu błąd w przepisywaniu. Liczba przykładów nie ma w ogóle żadnego znaczenia, wszystko zależy od ich treści – i jedno użycie λαβεῖν dla oznaczenia przyszłości byłoby o wiele bardziej istotne niż sto przykładów z δέξασθαι.

Kopista ma zwłaszcza skłonność do zamiany formy mniej sobie znanej na bardziej znaną, jeśli nie widzi ku temu przeciwwskazań. Gdy metrum pozwala (albo kopista nie wie, że zabrania), ελεῖνός zmieni się w ἐλεῖνός, οἰστός w ὀϊστός, *nil* w *nihil*, *deprendo* w *deprehendo*. Ponieważ metrum ujawnia tu i ówdzie nierzetelność kopistów, nigdzie nie mamy już prawa wierzyć im na słowo; jeśli wierzymy, jesteśmy naiwni, a jeśli budujemy coś na tej wierze, to żadni z nas krytycy. A nawet jeśli metrum nie zdradzi błędu, może to zrobić logika. Weźmy twierdzenie powtarzane w gramatykach i wydaniach, że pisarze łacińscy używali niekiedy *plusquamperfectum* w roli *imperfectum* albo *perfectum*. Rzeczywiście, używali tego czasu zamiast *imperfectum*; oraz ogólnie jako *praeteritum* lub jako aorystu przeszłego. Ale nie jako *perfectum*, i jasno to widać właśnie z miejsc w rękopisach, gdzie *plusquamperfectum* figuruje jako *perfectum*. Zawsze jest to trzecia osoba liczby mnogiej. Dlaczego? Trzeba wybrać pomiędzy dwiema hipotezami:

- a) że pisarze łacińscy używali *plusquamperfectum* w znaczeniu *perfectum* tylko w trzeciej osobie liczby mnogiej;
- b) że nie używali *plusquamperfectum* w znaczeniu *perfectum* wcale, a przykłady na to są zepsuciami.

Gdyby ktoś chciał przyjąć pierwszą hipotezę, musiałby wyjaśnić, jaka to szczególna właściwość składniowa, skłaniająca autora do użycia *plusquamperfectum* zamiast *perfectum*, cechuje wyłącznie formy trzeciej osoby liczby mnogiej, nie cechuje natomiast ani dwóch pozostałych osób tej liczby, ani trzech osób liczby pojedynczej. Chciałbym doprawdy zobaczyć kogoś, kto podejmie się takiego zadania.

Jeśli przyjmujemy tę drugą hipotezę, musimy wyjaśnić, jaka z e w n ę t r z n a cecha, skłaniająca kopistę do zapisania formy czasu zaprzeszłego zamiast *perfectum* charakteryzuje wyłącznie trzecią osobę liczby mnogiej – a to jest zupełnie łatwe. Trzecia osoba liczby mnogiej jest jedyną formą, w jakiej *indicativus plusquamperfecti* i *indicativus perfecti* różnią się tylko jedną literą. Co więcej, w poezji zakończenie *perfectum* -*erunt*, słabo znane kopistom, jest przez nich po prostu zmieniane na najpodobniejsze dobrze im znane zakończenie o tym samym kształcie metrycznym:

czyli albo na *-ērint*, albo na *-ērant*. W *Heroidach* Owidiusza są cztery miejsca, gdzie najlepszy rękopis ma *praebuērunt*, *stetērunt*, *excidērunt*, *expulērunt*, a pozostałe mają tam *-erant*, albo *-erint*, albo jedno i drugie. Dlatego kiedy o wiele słabsze rękopisy Propercjusza mają *plusquamperfectum* zamiast *perfectum* w czterech miejscach, raz *fuerant*, raz *steterant*, dwa razy *exciderant*, Scaliger poprawia to na *fuērunt*, *stetērunt*, *excidērunt*<sup>9</sup>. A w naszej jakże oświeconej epoce wydawca bierze pióro i pisze: „Błędem jest usuwać formy *plusquamperfectum* tam, gdzie się to da zrobić bez szczególnego wyteżenia krytycznej inwencji (*stetērunt* zamiast *steterant* itd.), nie przejmując się występowaniem tego zjawiska gdzie indziej”. Jak można, pytam, przejmować się występowaniem tego zjawiska gdzie indziej? Ono nie występuje nigdzie indziej. Nie ma miejsc, gdzie rękopisy dawałyby *steteram* w znaczeniu *perfectum steti*, albo *steteras* w znaczeniu *perfectum stetisti*. Jeśli natomiast znajdujemy w nich przykłady luźnego użycia *plusquamperfectum*, których nie da się usunąć przez zmianę jednej litery – jak *pararat* w Prop. I 8, 36 albo *fueram* w I 12, 11 – to nie mają one nigdy znaczenia *perfectum*, lecz albo *imperfectum*, albo *praeteritum*. Wniosek jest prosty: pisarze łacińscy nie używali *plusquamperfectum* zamiast *perfectum*.

Scaliger wiedział to w XVI wieku. W wieku XIX i XX pan Rothstein<sup>10</sup> tego nie wie, ale znalazł sobie słowną formułkę, dzięki której nie musi się tym przejmować, i myśli, że jest lepszy od Scaligera. Zakłada się, że w krytyce tekstu zachodzi stały postęp, toteż nawet ktoś z zupełnie nieuzasadnionymi pretensjami do miana krytyka umie wyniośle prawić o „dawnych, nienaukowych metodach”. Dawne, nienaukowe metody są wieczne, są z nami tu i teraz, odnawiają się nieustannie, gdy ucho łowi formuły, język je powtarza, a wolny od refleksji umysł pławi się tymczasem w samozadowoleniu. Postęp owszem, nastąpił, ale gdzie? Wśród ludzi myślących. Motłoch nie bierze w nim udziału. Taki ktoś, jak Scaliger, żyjąc w naszych czasach, byłby lepszym krytykiem, niż był, ale my nie staniemy się lepsi od Scaligera tylko przez prosty fakt, że zdarzyło nam się żyć parę stuleci później. Krytyka tekstu, podobnie jak większość innych nauk, jest elitarną dziedziną, nie mogą się nią zajmować wszyscy, ani nawet większość. Nie być krytykiem tekstu to nie hańba, o ile się nie ma pretensji do bycia tym, czym się nie jest. Bycie krytykiem tekstu wymaga zdolności i chęci do myślenia i chociaż parę innych cech też się przydaje, tylko uzupełniają one myślenie, nie mogą zaś go zastąpić. Przydaje się wiedza, przydaje się warsztat, ale jedna rzecz jest poza wszystkim nieodzowna: mieć na karku głowę, a nie kapustę, w głowie tej zaś mózg, a nie trociny.

Przełożył z angielskiego Konrad Kokoszkiewicz

<sup>9</sup> *Catulli, Tibulli, Propertii nova editio*, wyd. Joseph Justus Scaliger (1540–1609), Parisii 1577.

<sup>10</sup> *Die Elegien des Sextus Propertius*, wyd. i kom. Max Rothstein (1859–1941), Berlin 1898, wyd. II, Berlin 1920.

ARGUMENTUM

*Polonice vertitur Alfredi Housman clarissima disquisitio, in qua demonstrat auctor editoribus in textu redintegrando nitendum esse non rigidis regulis, sed ratiocinatione ad quemque casum applicata.*